№ 34. Warszawa, dnia 22 (10) Sierpnia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń. Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— A czy ty umiesz jeszcze po ormiańsku, Heluniu?

— Umiem, umiem... ale już mniej niż dawniej. Na pensyi nie ma z kim mówić, nikt nie rozumie. Prawda, były tam dwie jakieś panny Stepanow, lecz te, przysłuchiwałam się uważnie, rozmawiały jakoś inaczej, nic ich zrozumieć nie mogłam. To z tych azyatyckich Ormian zapewne.

— Tak, z pewnością. A wiesz, ja i ich języka się wyuczyłem. Kupiłem sobie książki, pokażę ci je; kosztowały mnie dosyć drogo, bo aż są z Wiednia sprowadzane. Przysiedziałem sporo czasu, ale za to teraz już wszystko czytam i rozumiem.

— To tybyś się z temi pannami Stepanow rozmówił, a warto, bo uchodzą za najładniejsze w klasie.

Patrząc na niego chichotała zwyczajnie, jak pensyonarka podstępna.

Na te słowa Owanesowi twarz spochmurniała, żarty się jego duszy młodej nie imały oddawna, odparł więc z urazą w głosie:

— Rozmówićbym się z niemi umiał, tak mi się przynajmniej zdaje, lecz nie dlatego, że jak mówisz, uchodzą za najładniejsze w klasie.

— To ty nie lubisz ładnych panienek? — spytała naiwnie — a przecież Kazio i Staś Łukaszewicze, kuzyni moi, umyślnie przychodzili mnie odwiedzać i przynosili mi całe pudełka cukierków, ażeby tylko mieć sposobność przyjrzeć się zblizka tym pannom.

— Ja nie jestem ani Stasiem, ani Kaziem, ja jestem Owanesem, i wszystkie najpiękniejsze koleżanki twoje mnie nie obchodzą, chociażby były aniołami i mówiły po ormiańsku jak w samej Armenii.

— A któż ciebie obchodzi, kto dla ciebie jest najpiękniejszym?

Mówiąc to, znowu zalotnie mu się przyglądała.

— Mnie, mnie... mnie obchodzisz tylko ty: boś ty jest najpiękniejsza, najlepsza i najmędrsza.

Urwał. Dziewczyna spojrzała na niego i umilkła. Promień słońca ześlizgnąwszy się z zielonych liści akacyj białych, przedarł się przez nie i opromienił tą parę młodziutką siedzącą na ławeczce. Na jego ormiańskiej ładnej twarzyczce świeciła zaduma jakaś nieujęta, a w jej oczach zarzył się płomyczek dziwny.

Było to pierwsze wyznanie rodzącego się uczucia w tych młodziutkich sercach, uczucia niewinnego, nieokreślonego, nieujętego w żadną formę zmysłowego popędu.

Owanes marzył marzeniami sławy i bogactwa. Widział się w swych snach młodocianych potężnym i możnym. Wszystko się przed nim gięło, a on nie znał granic swej siły, chciał, by świat jemu ustępował z drogi, nie on światu. A jedyne, tylko jedyne miejsce zostawiał w tym pochodzie zwycięzkim, jaki się przesuwał w jego rozbudzonej fantazyi, Helci, tej wysokiej Helci, z czarnym puszczonym wolno na szyję białą, niepokalaną, warkoczem. Ją stawiał obok siebie w marzeniach swoich, bez niej myśleć nie potrafił, nad nią unosił się młody duch jego i owiewał ją tchnieniem swem.

Tak żył i uczył się wytrwale a pilnie.

Skończył czwartą klasę, kiedy Stefek zmuszony był ją powtarzać, bo co rok to stawał się twardszym do nauki. Już teraz nie zadawalniał się zwyczajnymi figlami chłopięcymi, pragnął pójść wyżej ponad poziom łobuzerki, wciągał się powoli w towarzystwo nicponiów, i przyzwyczajał do zabaw zakazanych. Znalazły się karty, piwo, bilard... a odtąd książka poszła w kąt.

Wiedziano, że Bessarabczuk, jak go nazywali koledzy, ma pieniądze, bo często je otrzymywał z domu, więc dalejże namawiać go na pohulanki, kończące się niekiedy skandalem.

Nic nie pomagały strofowania profesora opiekuna, nauczycieli, Stefek pędził wytrwale po raz obranej łobuzerskiej drodze. Nawet Owanes, widząc, na co się zanosi — mówiono już o wydaleniu młodego Bohdanowicza — upominał kolegę. a miał na względzie własny interes. Przypuszczał bowiem, że skoro pan Kajetan będzie zmuszony zabrać Stefka, i za jego naukę zapewne nie zechce opłacać dłużej. Lecz Stefek się jeno oburzał, na nic nie zważał — swoje robił.

Pana Kajetana martwiło niewymownie, skoro przyjechawszy do Czerniowic dowiadywał się o sprawach synka, karcił go też zaraz na wstępie i los zagrożony osobistem wstawianiem się u profesorów poprawiał. Tak jednak do końca trwać nie mogło, i władzy szkolnej brakło cierpliwości.

Skończyło się na tem, że ojciec musiał rad nie rad odebrać z czwartej klasy niesfornego synka. Oprócz zaś losu Stefka miał teraz na sercu los Owanesa, którego mu szczerze żal było. O tym wszyscy z najwyższem uznaniem się wyrażali, nie szczędząc słów pochwały. Pojmował więc pan Kajetan dobrze to dobrodziejstwo, jakie mógł wyświadczyć Ohanie, utrzymując go jeszcze czas pewien w szkołach; zawahał się chwilkę: już chciał, zabrawszy Stefka, płacić w dalszym ciągu za samego Owanesa, gdy w sercu jego mimowoli powstała zazdrość rodzicielska, której przemódz nie umiał.

— Co, więc Stefka wydalają, więc Stefek łobuz, ma zostać osłem, a ten syn klucznika może wyjść na człowieka mądrego, bogatego, a mo-

że i sławnego. Nie, tego za wiele. Kiedy byli razem, dobrze, płaciłem, teraz niech obaj idą do gospodarstwa.

Tak myślał i rozumował:

— Trudno, już taki porządek na świecie. Nie mogę przecież syna własnego poniżać. Mógłbym płacić, to prawda, ale po co? i tak już dosyć umie, ażeby prowadzić rachunki gospodarcze.

Zawołał więc Owanesa, który właśnie skończył piątą klasę i z nagrodą przechodził do szóstej, i rzekł mu:

— Wiesz, że Stefka zabierać muszę do domu, bo się nicpoń uczyć i słuchać nie chciał.

Ohanie serce zabiło ze wzruszenia, przeczuwał dalszy ciąg mowy:

— Wiesz, że dłużej tu być nie może. Trudno, zabieram go, niech szelma siedzi od rana do nocy w polu, niech się ugania z Mołdawianami. Bo w Wysoce raju teraz mieć nie będzie, o nie.

Chodził po pokoju wzburzony i szukał oczyma syna, który się zdołał wymknąć niepostrzeżenie z domu, chcąc, by gniew ojca złagodniał trochę podczas jego nieobecności.

Chodził i nie wiedział jak ma zakończyć, a żal mu się robiło, patrząc na chmurnego Owanesa — wreszcie stanął przed nim i wykrztusił:

— Tak, trudno, cóż robić?! Jego mam zabrać. Ale i ciebie zabiorę, będziecie obydwa pracowali przy gospodarstwie.

Na twarzy młodego Ohany wystąpił cień rozpaczy pomięszanej z oburzeniem.

— Więc mam opuścić gimnazyum, kiedy tylko dwa lata zaledwie pozostaje mi do ukończenia? — pytał.

— Tak, razem ze Stefkiem.

— Razem ze Stefkiem — powtórzył Owanes bezdźwięcznie, i łza mu się zachwiała w czarnych oczach, lecz ją powstrzymał siłą woli i nie dał jej spaść.

— Umiesz już dosyć, będziesz prowadził rachunki gospodarcze. A tam zobaczymy, może jeszcze do czegoś lepszego się przydasz, wiesz przecie, że jest u nas dużo do roboty i na wsi, i w Mohilowie i w Odessie.

Owanes tego wszystkiego zdawał się nie słyszeć, jeno wyjąknął przez zaciśnięte zęby:

— Więc muszę jechać...

Doświadczał dnia tego uczucia jakiegoś takiego, jakby go nieznana ręka w przepaść strąciła. Wszystkie marzenia, sny, rozleciały się, rozpierzchły, rozpłynęły. Miał przed sobą nicość, w której tylko słaby punkcik gorzał, a i ten gasł, niknął; w tym punkciku gorejącym była Helcia, towarzyszka jego myśli i marzeń.

Cóż on teraz dla niej znaczył, bez nadziei zdobycia wykształcenia, sławy i bogactwa? Bo tam, na tym stepie nie wyobrażał sobie nic takiego, do czegoby dążyć, o czemby śnić mógł.

Los go zgiął zaledwie poczynającego życie, i puścił w innym kierunku.

Wracał więc napowrót z tym Stefkiem, którego teraz z duszy całej nienawidził, do owej Bessarabii, gdzie miał zmarnieć, jak sądził.

Roboty było w Wysoce naprawdę dużo, bo należało prowadzić rejestra i rachunki aż pięciu majątków, stanowiących razem spółkę rolniczą, na czele której stał Bohdanowicz.

Zmyślni to ludzie ci Ormianie, którzy z drobnych galicyjskich mieszczan potrafili się przez spryt i niezwykłą solidarność dorobić pańskich fortun w Bessarabii. Z początku zajmowali się oni w tym kraju przeważnie handlem wołów, koni i trzody chlewnej, które całemi partyami odstawiali do Austryi, robiąc na tych przedsiębiorstwach świetne interesa.

Ale nastały inne czasy; stepy, gdzie pasły się stada wołów, przeciągały tabuny całe koni rączych, powoli zaczęły się zmieniać na pszenne łany. Pszenica dawała plon stokrotny na tej ziemi dziewiczej; płacono za nią dobrze w Odessie, o którą się oparł cały handel zbożowy południa Rossyi.

Coraz też więcej zarzucano gospodarstwo stepowe w Bessarabii a zamieniano je na rolne. Dawni obywatele miejscowi, mołdawscy bojarowie, trzymali się starych zwyczajów i niedbale prowadzili uprawę ziemi swojej. Była to rasa ludzi apatycznych, leniwych, którzy oprócz marnotrawstwa i bezradności niczem się więcej nie odznaczali. Wypuszczali też w dzierżawę majątki Grekom lub Ormianom, którzy umieli sobie natychmiast dać radę i podwoić, potroić nawet produkcyę.

Nieposlednią rolę w tym ruchu rolnym w Bessarabii odegrali Ormianie galicyjscy. Wiedzieli oni, że pojedynczo z małymi kapitałami zginą, przepadną, postanowili więc działać spólnie, złączonemi siłami. Tworzyły się powoli spółki ormiańskie w różnych powiatach kraju, które biorąc wielkie dzierżawy i pilnując wytrwale interesów do poważnych dochodziły rezultatów

Jedną, typową taką spółką była Wysocka. Składali ją oprócz Bohdanowicza i jego brata panowie: Antoniewicz, Domaszkan i Szymonowicz. Wszystkie interesa natury finansowej należały do pana Kajetana Bohdanowicza, człowieka sprytnego i niesłychanie przebiegłego; on sprzedawał, kupował, wypłacał — jednem słowem był duszą spółki.

Pozostali trzej musieli siedzieć w pojedynczych majątkach i osobiście ich doglądać — wszystko zaś zboże szło do wspólnego spichrza w Wysoce, zkąd je pan Kajetan wedle własnego widzimisię sprzedawał. A zaufanie do niego miano wielkie; żadnemu z członków ani na myśl nie przyszło podejrzewać o co Bohdanowicza, wierzono mu bez zastrzeżeń, wiedziano bowiem, że był to człowiek z głową i nieposzlakowaną uczciwością. Pomiędzy spólnikami panowała idealna zgoda; jeżeli na przykład na folwarku pana Antoniewicza lub Domaszkana okazała się potrzeba pieniężnego poparcia, czy to z powodu nieurodzaju, czy też klęski jakiej, pan Kajetan dawał je na rachunek folwarku ze wspólnej kassy.

Powoli oprócz łączności interesów zawiązała się pomiędzy spólnikami łączność bliższa, familijna. Domaszkan miał córkę, którą wydał za Antoniewicza, a siostra tego ostatniego została żoną Bohdanowiczowego brata. Wszyscy byli krewnymi najzgodniej żyjącymi z sobą, a przyzwyczaili się do tej zgody, mieszkając razem w Wysoce, bo z Wysoki wyszedł początek pomyślności i świetnego rozwoju spółki.

W tym czasie, kiedy Owanes wrócił z Czerniowic do Wysoki, spółka prosperowała najlepiej; już pan Kajetan zdążył kupić ze wspólnych kapitałów na rachunek stowarzyszonych trzy majątki i wziąć ogromne Rublenieckie dobra w dzierżawę.

Gospodarstwo było prowadzone na wielką skalę, zasiewano naraz kilka tysięcy dziesięcin pszenicą samą, nie licząc kukurydzy i rzepaku. Wszystko się robiło maszynami, lokomobile huczały na każdym toku, ogromne młockarnie pożerały olbrzymie sterty zboża, wyrzucając z siebie dziesiątki tysięcy pudów ziarna. Wysocka odaja stała się rodzajem osady porządnej, w której od rana do nocy wrzało życie, rozlegały się śpiewy chóralne partyj robotników, przybywających z za Dniestru.

Zaraz też Owanes został wcielony jako kółko jedno do tej ogromnej produkcyjnej machiny, której ruch nadawała praca ludzka, kierowana wolą pana Kajetana.

Na głowę młodego chłopca zwalono stosy rachunków, kwitów i raportów, z którymi miał się codzień załatwiać. Pan Kajetan znał jego zdolności, a spryt wrodzony umiał ocenić, więc też po dwóch latach Owanes nietylko że był w stanie prowadzić rachunki bieżące, lecz umiał wywiązywać się jak najdokładniej z poleceń ważniejszych, któremi go obarczał Bohdanowicz. Jeździł do Mohilowa, do Odessy, załatwiał interesa, robił kontrakty, a wszystko bez zarzutu.

Przywykł z czasem do swej roli. Początkowo było mu ciężko nagiąć się znowu do pracy biurowej, której nienawidził i która go czyniła tylko kółkiem pojedynczem machiny gospodarskiej, ale się zmógł i przezwyciężył. Obecnie, kiedy już obudziły zaufanie, jego uczciwość i spryt ormiański, patrzył śmiało przed siebie — i nie bał się przyszłości ciemnej.

— Przecież i oni Antoniewicze, Domaszkany, Bohdanowicze tak jak ja zaczynali — rozumował marząc, — a doszli do fortun, do majątków, czemużbym ja tego nie miał dokonać? Czym co gorszego od nich? Chyba nie.

I liczył na siebie i wierzył w siebie, czując się nawet zdolniejszym, mędrszym, od swych chlebodawców. Tylko pola i pola, by się odznaczyć.

Pole się znalazło: Ohanę spólnicy cenić zaczęli za jego tranzakcye sprytne, kontrakty, które im tysiące sprowadzały do kasy — więc wyznaczyli mu za wspólną zgodą tantyemę znaczną od dochodów. A miał dopiero dwadzieścia dwa lat, całe życie młode stawało śmiejące się przed nim.

Myślał, kombinował i marzył o swym śnie młodocianym, o swej Helci, która już wyszła z pensyi panną dorosłą, wykształconą, a śliczną jak anioł.

Dla Owanesa została tą samą Helcią, nic się nie zmieniło w trybie ich życia, tak samo rozmawiali, tak samo marzyli, tak samo cieszyli się. Widząc, że młoda panna nie gardzi nim, chociaż musiał się wyrzec marzeń wysokich, jakiemi żył, będąc w szkołach, czuł dla niej oprócz tego rzewnego, rozkosznego uczucia wdzięczność niezmierną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Międzynarodowy kongres psychologiczny

W MONACHIUM.

Czwartego sierpnia r. b. otwarty został w stolicy Bawaryi wszechświatowy wiec psychologów, który jak to dzisiaj już ocenić można, przechodzi poprzednie zjazdy w Londynie i Paryżu zarówno liczbą uczestników, jak i ważnością traktowanych kwestyj specyalnych.

Wszystkie narody wysłały przedstawicieli swoich do Monachium. Anglia delegowała między innymi Branwella i Myers'a — z Francyi przybył Karol Richet, Jeanet, Courtier, Berillon, Bernheim—z Austryi Exner, Brentano, Ehrenfels wielu innych—z Ameryki Stanley, Petersehn i Tischner. Niepodobna zresztą wymieniać tylu znakomitości naukowych rozmaitych krajów, które pospieszyły przyjąć udział bądź w charakterze członków czynnych kongresu, bądź zainteresowanych postępem tej gałęzi nauki, zdążającej w ostatnich czasach olbrzymimi krokami do rozwiązań, o których przed niewielu jeszcze laty marzyć nawet nikt się nieośmielał.

Niezwyczajne zajęcie budzi ten zjazd we wszystkich warstwach intelligencyi miejscowej i dalszej. Uniwersytet monachijski oddał do rozporządzenia kongresu obszerne sale swojego gmachu, położonego przy końcu Ludwig-Strasse; w przygotowaniu uroczystego przyjęcia dla przybywających starają się wyprzedzić wzajemnie członkowie rodziny panującej, ciała naukowe i municypalność monachijska; słowem, nie będą mieli prawa uczestnicy zjazdu psychologicznego skarżyć się na brak zainteresowania ze strony warstw oświeconych. Książę Ludwik-Ferdynand Bawarski, księżna Teresa, książę Paweł, księżna Marya Meklemburg-Schwerin zapisali się na listę uczestników kongresu, i jak jednozgodnie zapewniają sprawozdawcy, nieopuszczają ani na jedną godzinę sali obrad. Tego rodzaju poszanowanie ze strony sfer najwyższych dla sprawy nauki umie z pewnością jak należy ocenić naród Bawarski, który niejeden złożył dowód szczerego przywiązania do swej dynastyi. W dniu 5 Sierpnia odbył się dla znakomitości zjazdu wieczór w letniej rezydencyi Nymphenburgu, położonym blizko Monachium, a upamiętnionym tragicznym wypadkiem, który tutaj miał miejsce.

Czwartego Sierpnia tedy, jak powiedzieliśmy wyżej, w obecności księcia Ludwika Bawarskiego i jego małżonki, ciała uniwersyteckiego i ministra oświaty, otwarto kongres. Przewodniczący w pierwszym dniu d-r profesor Stumpf z Berlina witał przybyłych, a następnie streściwszy działalność dwóch poprzednich zjazdów, przeszedł do przedstawienia w zarysach ogólnych zasad psychologii i wyjaśniał metody i kierunki współczesne w tej gałęzi nauki.

Po krótkiem przemówieniu powitalnem przedstawiciela municypalności Monachijskiej Burmistrza Brunnera miał jeszcze jedną mowę Rector Magnificus, poczem przystąpił kongres do prac właściwych.

Pierwszy zabrał głos w kwestyi specyalnej profesor d-r Richet. Za przedmiot obrał sobie uczony francuzki fizyologię bólu. Twierdzi Richet, że ból wywoływanym bywa przez każde intenzywne lub anormalne natężenie nerwowe. Przeznaczeniem bólu jest dawanie znać w sposób dotykalny o nieprawidłowościach funkcyj, i ostrzeganie o zakłóceniach zaszłych w organizmie. Nie możemy pominąć tu uwagi, którą specyalny sprawozdawca jednego z dzienników wiedeńskich opatruje tę definicyę Richeta i takie naznaczenie funkcyi uczuciu bólu. Powiada sprawozdawca, że znakomity lekarz psycholog pozostał dłużnym słuchaczom swoim wyjaśnienie, dlaczego niektóre trucizny, jak Morphium, Haszysz i wogóle narkotyki, dlaczego substancye takie, pomimo że wywołują w organizmach zakłócenia bardzo poważne, nie uprzedzają o nich uczuciem ujemnem, a przeciwnie wywołują wrażenia miłe a nawet rozkoszne.

Pozostawiamy tę uwagę na odpowiedzialność sprawozdawcy wiedeńskiego.

W dalszym ciągu objaśniał profesor Richet, że ból jest podstawą wszelkiego wrażenia moralnego. Bez bólu nie moglibyśmy doświadczyć współczucia ani obudzać go w drugich. Doświadczenie poucza nas, że choroby wywołujące wysokie osłabienie wrażliwości, wywołują zarazem i odpowiednie przytępienie zmysłu moralnego. Na tem właśnie polega demoralizujący wpływ narkotyku, a może być że i o hypnotycznych suggestyach dałoby się to samo powiedzieć.

Po Richecie zabiera głos profesor Franciszek Liszt z Halli. Mówi on o poczytalności i niepoczytalności kryminalnej. Rozwija wpływ tak zwanej wolnej woli na czyny człowieka i wysnuwa stąd konieczność rdzennych zmian w dzisiejszej pedagogice i obowiązującem w całym świecie ustawodawstwie karnem. Woła o zakłady poprawcze na miejsca więzień dzisiejszych, a na psychologów wkłada obowiązek inicyatywy w tem niesłychanie ważnem, a niecierpiącem zwłoki, dziele reformy zarówno wychowania, jak i wymiaru sprawiedliwości.

Na tem zakończyły się obrady kongresu w dniu 5 Sierpnia.

Następny dzień krzesło prezydyalne zajął Richet. Pierwszy zabrał głos profesor Flechshig z Lipska, a za przedmiot obrał sobie funkcye mózgu u człowieka. Uczony niemiecki zastanawia się nad niesłychanemi trudnościami, jakie miała do przezwyciężenia nauka w tej gałęzi specyalnej, ze względu na niezmierne rozgałęzienia tego organu, które tak utrudniają oryentowanie się w zjawiskach i funkcyach. Ale nauka jest wytrwałą, mówi prof. Flechshsig i nakoniec udało się anatomom i fizyologom wybrnąć z chaosu i rzucić most przez ową wielką przepaść oddzielającą organ od jego funkcyj.

Między pracownikami na tem polu wymienia w pierwszym rzędzie Meynerta, którego nazywa epikiem mózgu, a który potęgą geniuszu i niezrównanym darem odgadywania przewyższył wszystkich. Zdaniem tego uczonego cierpienie umysłowe nie jest bynajmniej rodzajem obłędu logicznego, jest ono przeciwnie następstwem zmian chemicznych zaszłych w organie centralnym, i powstaje na podścielisku cierpienia fizycznego, dla tego powinien jego zdaniem każdy psychiatra, jako wytyczną w zapatrywaniach swoich na istotę cierpienia umysłowego wziąć pamiętne wyrazy, które Schakespeare kładzie w usta króla Leara: „My nie jesteśmy sobą—nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, ilekroć razy natura zmusza ducha do cierpienia wraz z ciałem. Ciało jest przedewszystkiem sprawcą wszystkich cierpień duszy ludzkiej.” Wielkie oklaski przekonywają mówcę że audytoryum podziela jego zapatrywania.

Profesor Sergi z Rzymu mówi o zmianach w organie myślenia. Stoi on po stronie duńskiego psychologa Langego, wedle którego choroby umysłowe i zaburzenia tej natury nie są bynajmniej przyczyną ale następstwem zjawisk fizyologicznych towarzyszących cierpieniu.

Profesor Preyer przemawia w tym dniu ostatni. Tematem jego: „dusza dziecka.”

Na tem kończą się obrady kongresu w dniu 5 Sierpnia.

Przyznać należy, że z wielkiemi trudnościami spotkał się komitet kongresu psychologicznego. Wybór materyału kwalifikującego się do obrad i dyskussyi w zgromadzeniu, które silnie obstawało przytem, aby gruntu ściśle naukowego nie opuszczać, podczas gdy w badaniach psychologicznych tyle dotąd dowolności, dyletantyzmu i tyle hypotez zuchwałych—wybór takiego materyału był istotnie zadaniem nielada. Należało, mówiąc po prostu, z całą skrupulatną sumiennością starać się o oddzielenie plew od ziarna—należało dopuścić do dyskussyi to tylko, co miało podstawę, treść i przedstawiało kierunek, usuwając jak najstaranniej z porządku dziennego wszelkie efemeryczne prądy i przypuszczenia jednogodzinnej trwałości — wszystko co przynosi moda, kaprys i zachcianka umysłów niekrytycznych lub zbyt pospiesznych w sądzie. A niebrakło i śmiecia prawdziwego w tym chaosie przedstawionym zgromadzeniu ludzi nauki, dobrej woli i wiary. Bo oto zjawia się i zdemaskowany budapesztański fakir i zapowiada w jakiejś broszurze zfabrykowanej niewątpliwie przez spekulacyę dziennikarską, szereg przedstawień bardzo pouczających o których zapewnia z naiwną bezczelnością, że tym razem nic tam nie będzie sfałszowanego — nic kuglarskiego. Każdy pojmie że tego rodzaju propozycye szły od razu do kosza.

Były zresztą najściślej objęte programem kongresu tego rodzaju powściągliwe ostrożności, a nawet była ich konieczność przewidywaną zupełnie, czego dowodem jest ustęp w mowie prezydującego na pierwszem posiedzeniu d-ra Stumpfa. Zagajając obrady odzywa się w ten sposób berliński uczony o widzeniu i działaniu na odległość, jednem słowem o całej dzisiejszej telepatyi, która tyle umysłów zajmuje, porusza i dla tak wielkiej liczby wyznawców stanowi artykuł wiary niezachwianej:

„W epoce, w której fizycy działanie na odległość eliminują z zakresu obserwacyj swoich, teorya tego rodzaju działania nie powinna liczyć na przychylne dla siebie usposobienie ze strony zbiorowości naukowych. Do uprzejmości jednak szanownych zgromadzonych należeć winno odpowiadanie na tego rodzaju hypotezy dochodzeniami i argumentami, a nie milczeniem bynajmniej.”

(Dokończenie nastąpi).

Nasi najmłodsi.

Przez pewien czas było wśród inteligencyi naszej bardzo rozpowszechnionem mniemanie, że okres wielkiego rozkwitu poezyi polskiej stanowczo został zamknięty. Dzień śmierci Syrokomli zdawał się być ostatnim dniem tej świetnej, śpiewem tylu lir dźwięczącej epoki. Już odtąd, aż do jakichś dalszych rozporządzeń Opatrzności miało się umysłowe życie nasze bez narkotyku upojeń poetycznych obywać. Asnyk, Konopnicka były to wyjątki, które, jak mówiono niegdyś, potwierdzały regułę, głosy ich, to ostatnie echa, to oddźwięki tylko cichnącej pieśni romantyków.

Z wielkiem też niedowierzaniem, niechęcią niemal przyjmowano do wiadomości, że tu lub owdzie ukazał się znowu jakiś młody talent poetycki, zabłysła nowa jakaś gwiazda, która obiecywała rozpromienić się z czasem w pierwszo

rzędnej wielkości słońce. Uwierzyliśmy w zachód, w zorzę wieczorną, w noc, i trudno nam było z tym nowym świtem się pogodzić.

On tymczasem zajaśniał.

Dziś, po latach kilkunastu nikt z ludzi z ruchem literackim naszym mniej więcej obeznanych nie zaprzeczy chyba, że wbrew przewidywaniom krytyki i ogółu, mamy znowu istotnych poetów. Nie tak zupełnie wyjałowiała rola, jak nam się zdawało. A jakkolwiek ci *nasi najmłodsi* maleją nam w oczach, gdy spojrzymy po za siebie na trzech olbrzymów minionego okresu twórczości polskiej, to przecież z łatwością wytrzymują porównanie z drugorzędnemi gwiazdami tej naszej drogi mlecznej, której wstęga świetlana rozjaśnia nocny horyzont stulecia.

Po wszystkie co prawda czasy uskarżali się poeci wszystkich ludów na słaby oddźwięk, jaki słowa ich znajdowały w sercach i umysłach współbraci, na „chłód, który im na czoła od twarzy ludzkich powiewał." Ale niezależnie od rzeczywistej dysharmonii, jaka między duchami poetów a pospolitych, przeciętnych ludzi ubogiemi duszami istniała, i istnieć musi, było w tem wszystkiem i dużo nadczułości organizacyom artystycznym właściwej.

I ten w którym „kruszyło się serce smętne," na myśl „że on nikogo nie ma ze szlachetnych i próżno słowa wyrzuca namiętne" nie miał słuszności, bo właśnie najszlachetniejsi poszli za nim. Magiczną siłą słowa swego wiódł ich na wyżyny i w przepaści...

Inaczej za dni naszych. Wchodzących w życie poetów nie powitała radość młodego pokolenia jak niegdyś Mickiewicza i jego towarzyszów. Ich przyjęto naprawdę milczeniem obojętności lub lekceważenia.

„Ty urodzona z szumu lasów — z goryczą mówi Tetmajer — przestałaś już być mową bogów, a jesteś mową dziś — paryasów. Młodość się tobą już nie budzi, nie potężnieje, ni rozkwita..." i nie ma w tem przesady.

Poezya dziś nie działa. Nie biją mocniej serca, nie rumienią się lica, nie zapalają głowy pod jej wpływem. Stanowisko poety nie zapewnia dziś ani drobnych zadowoleń miłości własnej, ani wielkich nadludzkich rozkoszy owego *farysa-wieszcza*, co to był sam „jeźdźcem i jeźdźców bardem," którego pieśń „wnikała w ich twarzy rysy, w treść tych dusz wielkich..."

I trzeba zaprawdę mieć w sobie potężny, tajemniczy instynkt słowa, żeby się dziś nie cofnąć, nie uciszyć, nie zmilknąć na zawsze. „Farysy znikli... pustka na stepie."

Wobec chłodu, jakim ogół wita twórczość poetycką swoich młodych pisarzy, nietrudno zrozumieć, dlaczego ogólnem niemal znamieniem tej twórczości jest jakieś wyosobnienie się, usunięcie, oderwanie od gruntu, z którego przyrodzonem prawem powinnaby czerpać soki. Poeta stoi dziś samotny, nie dbający o słuchaczów, śpiewa dla siebie, dla małego wreszcie grona wybranych czcicieli piękna, śpiewa, bo takie przeznaczenie jego, bo popycha go ku temu wrodzony instynkt twórczy, ale nie marzy już, by siłą słowa swego zdołał zapanować nad duszami współczesnych, „zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy". Nić mistyczna wiążąca niegdyś wieszcza ze społeczeństwem została zerwaną. Kto ją nawiąże, czy nawiąże kiedy? Czy przyjdzie czas, w którym pieśń będzie znowu gościem przyjmowanym radośnie „po domach i chatach?"

A w tej łączności, w tem wzajemnem oddziaływaniu na siebie poety i czytelników, kto wie, czy nie kryje się tajemnica tego potężnego rozkwitu, do którego doszła poezya nasza w połowie wieku bieżącego?

Poeta wtedy nie wahał się podnosić głosu coraz wyżej, coraz śmielej, bo czuł że jak ów „jawiący się w ogniu" guślarz mytyczny, on „przepowiada przyszły świat nieznany, co w pieśni stworzy, to się wnet ukaże."

Miejmy nadzieję, że ten rozbrat między skrzydlatymi duchami, wylatującymi w sfery ideału, a tłumem stąpającym po ziemi, złagodzony kiedyś zostanie, że znajdzie się znowu słowo, któremu tłum ten pozwoli porwać się i unieść choć na krótko w wyniosłe krainy piękna.

Czy któremu ze współczesnych poetów przeznaczono wymówić to słowo, czy ten, który nić zerwaną nawiąże, będzie dzieckiem przyszłości dalekiej, któż to odgadnie?

To pewna, że talenta młode rosną w siłę. Z drugiej strony zaś, wśród ogółu naszego dało się w ostatnich czasach zauważyć żywsze nieco zajęcie poezyą. Zdaje się, jak gdyby budzić się zaczynało dawne nasze zamiłowanie do pieśni. Ale zamiłowanie to zwraca się bardziej ku gwiazdom romantycznego okresu.

Młodych poetów swoich ogół nasz nie zna prawie. A są wśród nich talenta prawdziwe, są poeci *z łaski Bożej*. Kilka imion zdobyło sobie już zasłużoną sławę, ale jest to sława, która nie wychodzi prawie po za ciasne koła literackiego świata.

Kasprowicz, Lange, Miriam, Tetmajer, Gliński, A. M...ski, Szczęsna, Orot, Wolski, Niemojewski, Górski, Selim, Rydel, Jankowski, oto gromadka tych *naszych najmłodszych*.

W tym szeregu imion pominęłam zapewne niejedno godne uwagi czytelników. Niechże mi pominięci wybaczą. Z konieczności musiałam ograniczyć się do najgłośniejszych w danej chwili, najbardziej znanych.

Czytelnikom „Tygodnika" wiadomo, że pismo nasze tak pomieszczaniem prac młodszych poetów jak i sprawozdaniami z ich działalności twórczej starało się obznajmiać ogół z ruchem poetyckim dni ostatnich, budzić uśpione zamiłowanie poezyi.

Idąc wytkniętą koleją, zamierzamy w dalszym ciągu dać poznać bliżej czytelnikom naszym niektóre z wybitniejszych postaci tego młodego świata, który bez względu na chłód i obojętność współczesnych „w jutra tajemną twarz patrzący śmiele, po laur sięga dla wyniosłych czół."

I.

Antoni Lange po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę poemacikiem p. t. „Pogrzeb Schelley'a." Utwór ten był jedną z pierwszych, bogdaj że pierwszą niemiłą niespodzianką dla tych, którym się zdawało, że poezyę naszą letargicznym snem ujętą złożyć można cicho, w białym, marmurowym grobowcu, i mrucząc z niechcenia pochwały na jej cześć, czuć się swobodnym od jej gorączkującego wpływu, od jej podniet i upojeń.

Ona tymczasem widocznie wstawała do życia. Potęga słowa, mistrzowstwo formy, bogaty zasób idei, z jakim wystąpił młody poeta, pozwalały po przyszłości jego spodziewać się wiele. Obecnie mamy przed sobą tom poezyi tego samego autora. Są tu sielanki, erotyki, cykle sonetów filozoficznych, fragmenty na wielką skalę zakrojonego, poematu z czasów przedhistorycznych, dwa dłuższe poemaciki „Vox Posthuma" i „Pieśń o słowie" filozoficzna fantazya prozą p. t. „Godzina" i t. d.

Gdyby mnie spytano, którym kartom tej książki daję pierwszeństwo, bez wahania odpowiedziałabym, że „Pieśni o słowie."

„Duch i natura są to wieczne osie,
Na których pieśni obraca się słowo,
Myśl czujnie krąży w tym mętnym chaosie,
Aż oto jutrznię ujrzy purpurową.
Wówczas nad dzikie potopu poswarki
Myśl ulatuje z chaosu w wyżyny,
I—niby biała gołębica z arki
Wraca i dobre przynosi nowiny."

Słowu o którem śpiewa, daje poeta głębokie i obszerne znaczenie. Jest to słowo-prawo, słowo-zakon, a jednocześnie mistyczne *Słowo* proroków biblijnych i Ewangelistów. Poeta czuje się narzędziem tajemniczej siły *słowa*, siły przepotężnej a ukochanej

Z przerażeniem niemal pyta!

„Słowo czyś ty jest Bogiem? Czy ten coby
Skroś poznał wszystkie tajemnice słowa
Mógłby z nicestwa wywoływać globy,
I tak panować światu jak Jehowa?"

A w innem miejscu wybucha:

„Kocham cię, słowo, pierwoźródło tworów."

I z miłością śpiewa o niem:

„Są słowa święte—jak ołtarze Boga,
I takie mądre—jak lasów milczenie,
I tak podniosłe - jak do niebios droga,
I takie wieczne—jak łzy i cierpienie.
Są słowa ciche—jak wiosenne kwiaty,
I takie słodkie—jak uśmiech kochanki,
I takie wonne—jak róż aromaty,
I takie miękkie—jak motyle tkanki.
Są słowa straszne—jak nędzy zaraza,
I tak śmiertelne—jak grobów całuny,
I tak hańbiące—jako rdza żelaza,
I takie groźne—jak ludów trybuny,
Są słowa lotne—jak skrzydlate ptaki,
I takie jasne—jako błyskawice,
I tak prorocze—jak płomienne krzaki,
I takie wielkie—jak Austerlitze."

Nie mogłam oprzeć się chęci przytoczenia tego ustępu w całości, i sądzę, że powinien on dać czytelnikom chwilę rzadkiej rozkoszy artystycznej.

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dokończenie.)

Porwał go też niepokój szalony, waryacki, jak człowieka, który naraz wśród onej zapalczywości, z jaką chciał śmierci urągać i wydzierać ofiarę, czuje, że nie wydrze już nic, i nic nie uczyni, albowiem, przybędzie za późno.

Piekielnem udręczeniem stały się też dla niego ostatnie godziny drogi. Każda sekunda w takt cykającego w ręku zegarka, powtarzała to fatalne: „zapóźno — zapóźno!”

I nawet kuryer, pędzący jak strzała, zdał mu się w miejscu stać; w nieugaszonej gorączce niepokoju doznawał pragnienia, by cały pociąg w powietrze wysadzić razem z sobą, byle rzucić się w przestrzeń i w jeszcze szaleńszy ruch naprzód.

W końcu, bezprzytomny, nie wiedział co czyni i z przedostatniej stacyi zatelegrafował do niej o swoim przyjeździe.

Nie zastanawiał się nad tem, że jeśli nie zechce go widzieć, jak pisała, to uprzedzona o jego przyjeździe zyszcze po temu czas i sposobność, by ujść przed spotkaniem i rozmową.

Lecz Ada ani zamierzała, ani chciała przed nim uchodzić.

Była w domu, gdy przyniesiono depeszę.

Czytając ją drgnęła.

Nie przypuszczała, by Oroński przyjeżdżał, zwłaszcza tak szybko i nagle, że za pół godziny już stanąć miał przed nią.

Czując wszakże nieodwołalność tego faktu, przyjęła go raczej z poddaniem istoty obojętnej na wyrok, jaki zapadnie.

Zdało się nawet, że chce się owinąć w jakiś nieprzenikniony chłód, by niedostępną być wszelkim wrażeniom, pociskom i słowom.

Siadła na nizkiej, głębokiej kanapce w swoim pokoju, i w kąt wciśnięta czekała.

Pokój ten zaś, z ciężkiem, w staroniemieckim stylu umeblowaniem, z zadymionymi portretami średniowiecznych rycerzy na ścianach, z sufitem sklepionym, a oknem o gotyckim ostrym łuku, podobnym był raczej do kaplicy, niż do mieszkania młodej kobiety.

Posępny, mroczny, chłodnie poważny, niczem nie przypominał jej barwnego i gwarnego saloniku z Warszawy.

Podobnie odmienną była i ona sama.

W jej postawie, ruchach, spojrzeniu i wyrazie rysów nie było śladu poprzedniej pewności siebie i wesołości. Twarz wydawała się szczuplejsza i bledsza, oczy głębsze, szerzej rozwarte i pełne przytłumionych blasków przerażenia, jak wzrok człowieka, który przeszedł wielkie wstrząśnienie, ogromny strach, jakieś istotne niebezpieczeństwo życia i trwogę, o jakiej nie miał pojęcia i wybrnął, ale odarty ze swobody, ze złudzeń nieświadomości, z uśmiechu i spokoju niewinnego dziecka.

Oto jeszcze jedna nieostrożność, jedno poigranie z pozorami, z nieprzepartą chęcią wrażeń i nowości, a zetknięcie się tym razem z wolą silną, bezwzględną, z podstępnością utajoną i szałem, który nie waży i nie przebacza — i ot zdeptane kwiaty po których stąpała i zdarte osłony, przez jakie patrzyła; wnętrze jednej z przepaści życiowych się rozwarło, i ujrzała ciemną głębię.

Nie ocaliła jej zdolność wysuwania skrzydeł ptasich ze wszystkich sidełek. Wstrząśnienie zaś było widocznie tak silnem, iż pokonać go i odeprzeć nie była w stanie.

I siedząc tak nieruchoma, zmartwiała, bez myśli, prawdziwie nie zastanawiała się nad tem, jak spojrzy w oczy człowiekowi, któremu przyrzekała oddać życie i którego życie wzięła już na swą odpowiedzialność i swe sumienie.

Oczyma zawisała w przestrzeni, słuchem nie chwytała nic wśród głębokiej ciszy, zalegającej wokół.

Wtem coś zaszemrało.

Podniosła głowę z oparcia, spojrzała ku drzwiom.

Ale w kurytarzu oddzielającym pokoje milczenie trwało.

Tylko po długich, wązkich szybach okna, przez które widać było kawał nieba i freskami zdobne boki charakterystycznych monachijskich domów, od strony pokoju skrzydłami bił motyl.

Spóźniony zbieg, trwożnie chronił się przed zagubą, śniegami i zimą. Jednak skazanym był na zatratę.

Ada zawiesiła na nim wzrok — i śledziła jak to wzbijał się w górę, to na dół opadał; chwilami roztwierał skrzydła szeroko i śmiało, chwilami jednak ledwo je poruszał, chwiejny i osłabły, rozbitkom podobny.

W jej rysach ocknęła się nagle dawna żywość myśli, które umiały tak fantastycznie bujać.

Patrzyła ciekawie — i widać było, że przywodzi sobie na pamięć świetność jego ubarwienia, jego dawniejszą chyżość i swobodę, że może sama goni duszą, czy pragnieniem po szerokich przestworach słońca i wolności, czy też pytanie jakieś wiąże z tem istnieniem wątłem — a może tylko snuje myśl o znikomości blasku, piękna, uciechy i życia?

Wyraz jej źrenic zmieniał się.

A oto motyl, wśród najżywszego ruchu rozbił się o ramę okna — spadł — i więcej się nie poruszał.

Ona westchnęła.

Głowę przechyliła w tył, przymknęła oczy.

W kilka minut Janusz stał przed nią.

Co z nimi się działo w pierwszej chwili — nic nie wiedzieli.

Z jego strony był to wylew trwogi, radości, uniesień, upragnień, wybuchających z pod ucisku udręczenia; wylew jakiegoś szału, który ją porwał w jej martwocie, a nagle ogarniającem ją rozżaleniu i rozprężeniu nerwów, sztucznie hamowanych.

Trzymając ją w ramionach, nie pytał jaką jest — nic nie ważył, nie myślał, wiedział tylko, że ją ma przy sobie, na piersi, czuł że pocałunkami okrywa jej ręce, oczy, usta.

Lecz po chwili poczuł lodowy chłód tych rąk, oprzytomniał.

I wpił w nią wzrok, w którym zawarł całą duszę — i pytanie.

Ada zachwiała się, pobladła. Głowę odchyliła w bok, usuwając dłonie z uścisku.

— Odejdź!... odejdź! — szepnęła głucho.

A potem:

— Niegodnam ciebie...

I wreszcie:

— Jam winna...

Oroński wstrząsnął się. Rękoma przycisnął pierś, by nie krzyknąć: „Czemuś tak zgubiła siebie, a mnie podeptała?! Dlaczego?! Dlaczego?!...

Łzy spadły mu po twarzy.

Porywał go żal nad nią. Przyznaniem winy podnosiła się, przejednywała.

Przez moment wiedział tylko, że kocha ją bez pamięci; że módz ją kochać, czcić, módz posiadać, było takiem pragnieniem całego jego jestestwa, że wyrwać tego z siebie nie był w możności — i gotów był za to szczęście dać połowę życia

Ale tu ból przebrał miarę.

W naturze jego silnej, zdrowej moralnie, więc dążącej wszelkiemi władzami w kierunku życia i czynu, nie ku zagładzie — rozpacz przełamała się nagle i ze wszystkiem.

Gdy rozplótł ręce, w które chwycił głowę i spojrzał na nią — ujrzał ją nagle odartą ze wszelkich własnych złudzeń, w jakie ją ubierał.

Siedziała spokojna choć blada, bez skruchy, bez łez, bez rozpaczy.

Onaż to była? Ona? To nad wszystko drogie ukochanie?!

Nie! To była kurtyzana duszą, myślą, zasadami, czy brakiem ich zupełnym, choć nie ciałem, nie zmysłami. Bo wina jej nie powstała z szału, z namiętności, ani prawdy i porywu uczuć; zrodziło ją tylko lekceważące deptanie po wszystkiem, co człowiek czcić i szanować winien, tylko pustka i nicość moralna!

Prysnął jej urok i czar!

Janusz widział teraz jej bezwzględne samolubstwo, to okropne nieliczenie się z wszelkim obowiązkiem, z wszelkim cudzym bólem, nawet i z cudzem życiem. Zdało mu się w tej chwili, że śmierć Hubicza i Felicyi znaczy po jej rękach i sukni dwie krwawiące rysy.

I zdjęła go zgroza, porwał wstręt, przestrach.

Niemy i nieruchomy przez chwilę jak słup, nagle ku niej się obrócił z płomieniem na twarzy.

I wszystkie myśli, które jednym tchem przez głowę mu przeleciały, wprost rzucił jej w słowach:

— O! tyś przeklęta! przeklęta!... Mogłaś tyle dawać dobra i szczęścia — rozsiewałaś tylko ból i zniszczenie!... Wszystkie wy przeklęte już w łonie matki, co macie nerw zamiast duszy, i lód zamiast serca.

Ada płakała.

Może płakała nad sobą i nad swem marnowanem życiem — może nad Januszem i za nim? Może jej łzy były łzami istoty, która uznawała, że błądzi i źle czyni, ale rozumiała, że sama też była skrzywdzoną złym kierunkiem od zarania życia?... A może tylko były to zwyczajne łzy kobiety mało zdolnej panować nad sobą?

W rok potem, gdy doszła ją wiadomość o ślubie Orońskiego z Maryą Roger — mówiła o tym fakcie obojętnie i wesoło, jak o innych nowinach z dzienników.

Była w Paryżu i tam czerpiąc wrażenia u bogatego źródła, dalej nęciła tych, którzy nie

chcieli odróżniać ułud od prawdy, lub nie umieli sami pojmować istotnej wartości i piękna życia.

Balonem do bieguna północnego.

Taką właśnie najhazardowniejszą, a więc może dlatego właśnie najwięcej szans powodzenia przedstawiającą, podróż ku biegunowi przedsięwzięło w naszych czasach trzech uczonych skandynawskich.

Nie godzi się w żadnym razie mieścić tych trzech nazwisk w szeregu długim awanturników i poszukiwaczy nadzwyczajnych przygód; przeciwnie zupełnie objaśniają nas o charakterze, indywidualnych uzdolnieniach i świadomości zamierzonego przedsięwzięcia, wtajemniczeni i naoczni świadkowie trudów, przygotowań i gotowości do ofiar tych rzeczywiście niezwyczajnych ludzi. Dosyć będzie pobieżnie streścić karyerę naukową każdego z nich, aby się wyrzec wszelkich przypuszczeń podobnych, dosyć będzie powiedzieć, że od trzech lat opracowują oni niezmordowanie plany i szczegóły swego przedsiewzięcia, żeby ocenić wytrwanie i siłę postanowienia. Co do tego, jak zbrojni wychodzą oni na tę szczególną wyprawę, jak wszystko co należało przewidzieć, jest przez nich przewidzianem — wszystko co do osiągnięcia celu zbliżyć może, przygotowanem i obmyślanem naprzód, opowiadają interesujący się wyprawą, którzy wspominają, że na użytek ekspedycyi oddano siedmdziesiąt różnego rodzaju najnowszych wynalazków naukowych.

Powiedzmyż co podają pisma o każdym z trzech uczestników tej nadzwyczajnej imprezy.

P. Andrée Skandynawczyk rodem, autor pomysłu i naczelnik ekspedycyi. Nie jest on aeronautą z profesyi, a pierwsze próby odbył dopiero, gdy po niepowodzeniach poprzedników swoich powziął myśl dostania się balonem do tajemniczej krainy, do której drogą lądową i morską nikt do tej pory przeniknąć nie zdołał. Pan Andrée z zawodu inżynier ma lat 41; zajmował w ostatnich czasach posadę dyrektora departamentu wynalazków w Stockholmie. Jest bezżenny, z charakteru wytrwały, woli silnej— wogóle pochopniejszy do czynu niż do marzeń w jakimkolwiek kierunku. Zresztą zamknięty w sobie i dosyć chłodnego obejścia, mniejwięcej jak każdy człowiek przyzwyczajony żyć z własnemi myślami.

Doktór Eckholm wieku z górą lat 50-ciu ożeniony w wilią dopiero wyjazdu ku Spitzbergowi. Miał zamiar zawrzeć związek małżeński po powrocie z wyprawy, ale za wolą narzeczonej obrzęd ślubny uprzedził wyprawę. Odznacza się temperamentem spokojnym i niepospolitą równowagą myśli, a co do zapatrywań jego na domniemane powodzenie przedsięwzięcia, żywi on niezamąconą pewność siebie uczonego, który nie wątpi o dokładności swoich wyrachowań. Znany jest w swoim kraju z prac meteorologicznych, a jego długie studya odbyte na Spitzbergu nad zmiennością temperatury i nad kierunkiem wiatrów w krainach daleko na Północ posuniętych, zjednały mu rozgłos, i jak w tym wypadku, robią z niego nieocenionego uczestnika przedsiewzięcia.

P. Nills Strindberg wieku lat 24 rodem Skandynawczyk jak dwaj poprzedni, był dotąd profesorem w szkole wyższej w Stockholmie. Przynosi on ze sobą do tej podróży energią i ufność bezpieczną młodego wieku, a że ufność udziela się równie jak niewiara, więc wpływ jego zaliczonym być musi jako dodatni w dziele tak hazardownem jak to o którem mówimy, a które przez instytucyą tak poważną jak Towarzystwo geograficzne londyńskie, zostało stanowczo uznanem jako niewykonalne.

Co się stanie, trudno wiedzieć, ale to pewna, że trzej uczestnicy wyprawy opinii Towarzystwa londyńskiego nie podzielają zupełnie, a to też jest wszystkiem prawie co za ich powodzeniem dotąd przemawia, bo świat naukowy patrzy z nieufnością wielką na to zuchwalstwo niebywałe.

Przy takiem sceptycznem usposobieniu ogółu nie było łatwo śmiałym poszukiwaczom bieguna o środki materyalne, mające pokryć koszta wyprawy, bo majętnym z siebie nie jest z nich żaden, a bądź-co-bądź koszta przedsięwzięcia wyanszlagowano na 180 tysięcy franków. Pierwszy przyłożył się do zebrania summy potrzebnej król Oskar szwedzki, który z własnej szkatuły przeznaczył na ten cel 43 tysiące fr., drugie tyle złożył baron Dixon, 86 tysięcy ofiarował Alfred Nobel, a resztę pokryć nie było już trudno.

Balon zbudowany specyalnie do tej podróży w Paryżu wysoki jest na 25 metrów, a koszta jego wynoszą 50 tysięcy franków.

Powodzenie zależy właściwie od rezultatów jakie da na morzach polarnych system wynaleziony i zastosowany przez pana Andrée. Zdaniem jego wszystkie dotychczasowe pokuszenia o nadanie kierunku balonom dlatego były daremne, że balon jako lżejszy od powietrza jest igraszką wiatrów, i że w takim stanie niepodobna wynaleźć dla niego punktu oporu, a tem samem nie można myśleć o dowolnem zwróceniu w tę lub ową stronę.

Spróbował tedy pan Andrée zaradzić trudności w ten sposób: Do drewnianego kręgu podtrzymującego łódkę balonu przytwierdził on trzy wlokące się łańcuchy, których waga razem wzięta wynosi 1,000 kilogramów. Przeznaczeniem ich jest utrzymywać balon na pewnej oznaczonej wysokości od powierzchni ziemi lub wody, a zarazem miarkować bieg aerostatu. Opanowując tedy ruch balonu zyskuje się punkt oporu w przestrzeni, wraz z nim możność przyczepienia żagla, a tem samem niby jakiegoś wpływu na siłę wiatru. Tak tedy te trzy wlokące się ciężary tworzyć mają ster przyrządu napowietrznego. Są one długości niejednakowej, aby przeszkoda nie zatrzymała nigdy wszystkich razem. Jeden ma długości 310 metrów, drugi 320, trzeci 370.

Ponieważ mają one regulować wysokość wzlotu, ma pan Andrée zamiar pozostania przez cały ciąg podróży w odległości 150 metrów od powierzchni ziemi lub morza. Narzędzi fizycznych zabierają ze sobą uczeni szwedzcy całe obserwatoryum. Postanowiono, że jeden tylko z trzech podróżnych będzie mógł spoczywać, podczas gdy dwaj pozostali będą musieli czuwać koniecznie. Notowanie zjawisk, kontrola przyrządów i fotografowanie tego co spotkają podróżni, wypełnią z pewnością cały czas czuwających. Zapasów żywności zabierają podróżnicy 700 kilogramów; z tego połowę blizko stanowi woda słodka, którą spodziewają się uczeni utrzymać o ile się da w stanie płynnym. Kuchenka spirytusowa ma być arcydziełem prawdziwem pomysłu i wykonania. Ponieważ blizkie sąsiedztwo płomienia z przyrządem wypełnionym gazem jest zawsze bardzo ryzykownem, postanowiono zatem zawiesić ten przyrząd w przestrzeni na 8 metrów poniżej łodzi balonowej, a dowcipne urządzenie pozwala na zapalanie i gaszenie płomienia lampki spirytusowej, ogrzewającej kuchenkę na tę odległość.

Gdyby przypadkiem balon miał wypowiedzieć posłuszeństwo i osadzić podróżników na środku morza, mają oni do rozporządzenia łódkę; gdyby to się stało na wysepce, zabierają ze sobą troje sani, a ponieważ o inwentarz pociągowy trudno jest w tych okolicach, zdecydowani są podróżni ciągnąć swoje narzędzia i zapasy żywności własną siłą.

Wedle wyrachowań pana Andrée, wyjeżdżając z jednej z wysepek gruppy Spitzbergu powinni się znaleźć u bieguna w 42 godziny, a dążąc z powrotem na dostanie się do brzegów Syberyi lub Alaski potrzebować będą tydzień czasu. Doktór Echholm rachuje inaczej.

Twierdzi on, że u bieguna mogą być dopiero za tydzień czasu od wyjazdu, a na to żeby się dostać na brzeg kontynentu amerykańskiego lub Azyi w pomyślnym razie muszą dążyć dwa tygodnie.

Zapasów żywności mają w każdym razie na cztery miesiące. Czy śmiałe to przedsiewzięcie uwieńczy skutek oczekiwany przez śmiałych podróżników niepodobna przewidywać. Jak twierdzą, motor nie powinien im wypowiedzieć posłuszeństwa, tkanka bowiem balonu jest tak nieprzenikliwą, że ubytek gazu w aerostacie oznaczono dziennie na jedną zaledwie stopę kubiczną. Ale co będzie jak powierzchnię balonu powlecze skorupa śnieżna, nie pozwalająca mu na unoszenie się w przestrzeni? Wreszcie w takiej podróży jak ta, zawsze należy przewidywać wszystko co nie jest do przewidzenia. Jedno tylko na pewno prorokować można tym ludziom: będą tryumfatorami albo ofiarami.

Na coś pośredniego liczyć chyba niepodobna.

K.

Szpital dla dzieci tuberkulicznych

w Villiers nad Marną we Francyi.

Wzrastająca z każdym rokiem liczba ofiar pochłanianych przez suchoty płucne zmusiła naukę do zwrócenia uwagi na szerzącą się dziedziczność tych cierpień, która po bliższem zbadaniu okazała się wistocie zatrważającą. Jawnem było, że nowe złe wymagać będzie nowych środków zaradczych. Jakoż przed kilkunastu już laty powstał pierwszy zakład leczniczy dla dzieci tuberkulicznych w Ormesson nad Marną, ale dwa pierwsze lata istnienia zdołały przekonać założycieli, że małymi środkami niczemu się tutaj nie zaradzi, i że na tym jednym przytułku niesposób będzie poprzestać.

Rozpoczęto starania o rozszerzenie tej działalności, a tymczasem założono w Paryżu przy ulicy Miromesnil ambulatoryum porady bezpłatnej i bezpłatnego rozdawnictwa środków dzie-

ciom dotkniętym chorobami piersiowemi. Jednocześnie odbywały się w tem ambulatoryum w Poniedziałki każdego tygodnia konferencye lekarzy specyalistów, na których traktowano kwestye dotyczące fizycznego wychowania dzieci zagrożonych temi cierpieniami.

Ofiarności prywatnej przyszło niebawem w pomoc Ministerym Rolnictwa, które wyasygnowało z funduszów użyteczności publicznej summę 330 tysięcy franków, i dzięki połączonym usiłowaniom stanęły we Francyi trzy zakłady, których zadaniem było leczenie dzieci zagrożonych suchotami płucnemi. Jednym jest ambulatoryum Paryzkie, drugim wzmiankowany przez nas przytułek w Ormesson, i nakoniec na szerszą skalę otwarty szpital w Villiers nad Marną, który powstał wyłącznie z darów dzieci. Komitet nie odrzucając bynajmniej ofiar pokaźniejszych, odwołał się do ofiarności serc dziecinnych i dzięki tym ostatnim przeważnie, i darom ich jednofrankowym, powstał w Villiers nad Marną tak zwany pawilon dzieci Francuzkich.

Szpital ten zbudowany na równinie wzniesionej 150 kilometrów nad poziom morza, osłoniony jest od wiatrów północy i wschodu ścianą lasów, a od zachodnich amfitrem wzgórz, tak że miejscowość pod względem warunków sanitarnych przyrodzonych nie pozostawia wistocie nic do życzenia Cały zakład składa się z trzech pawilonów które wzięte razem przedstawiają długość 120 metrów. Pierwszy przeznaczonym jest dla dzieci poważnie zagrożonych. Drugi stanowiący galeryę centralną zajmują chorzy mniej ciężko, ale w każdym razie nieopuszczający łóżek. Trzeci zajęty jest przez rekonwalescentów właściwych. Mury tych budowli są jak najczęściej i jak najskrupulatniej oczyszczane zzewnątrz i wewnątrz. Malowanie ścian, sufitu i podłóg wszędzie olejne dla codziennego zmywania. Żadnych ozdób, żadnych firanek ani dywanów. Dla 80 dzieci zamieszkujących pawilon ostatni przeznaczono przestrzeń zawierającą 10 tysięcy metrów sześciennych powietrza, co znaczy 120 metrów na jedno powracające do zdrowia dziecko. Nazależnie atmosfera wewnętrzna zasilaną jest w ozon przy pomocy elektryczności, którą maszyna dynamo elektryczna produkuje w dzień i w nocy.

Dziecko opuszczające zakład, to znaczy dziecko uleczone tymczasowo, uważanem jest jednak jako mniej lub więcej zagrożone na przyszłość, w razie gdyby mu żyć przyszło w warunkach ujemnych, i dlatego nie przestaje ono być przedmiotem troskliwości osób stojących na czele instytucyi. Mury miejskie i praca w warsztatach i fabrykach uważa się dla każdego, kto w dzieciństwie podległ groźnym objawom tuberkulicznym jako nieodpowiednie zupełnie. Dla tego każde chore dziecko opuszczające szpital, pomieszczonem bywa w szkole ogrodniczej należącej do instytucyi, i tu oddziaływają na dalszy rozwój jego organizmu, życiem na świeżem powietrzu, odpowiedniem odżywianiem i pracą umiarkowauą, której zadaniem rozwijać i wzmacniać, a na przyszłość zapewnić fach, którym w części jakiejś wypłacałoby się ono społeczności a staranie dla niego podjęte.

I u nas niestety coraz więcej dzieci wątleje na bruku miejskim, a kolonje letnie bardzo, bardzo homeopatycznie zaradzają potrzebie; i u nas znalazłyby się może dary większe i znalazłby się sposób trafienia do serc dziecinnych, o ofiary z ich małych oszczędności. Ale do tego wszystkiego... no wreszcie powrócimy przy okoliczności stosownej i w czasie właściwym do tej myśli.

T. M.

TO I OWO.

✲ Międzynarodowy kongres pracy kobiecej i dążeń kobiety naszych czasów, o którym w roku bieżącym zrobioną była wzmianka w Tygodniku, rozpocznie swoje posiedzenia w Berlinie w dniu 20 Września. Program zagadnień, które na tym wiecu niewieścim rozpatrywane być mają, wedle tego co zapowiadają pisma niemieckie, jest bardzo urozmaicony. Czytać będą rozprawy swoje pani Stritt z Drezna, panna Auster z Augsburga, pani d-r Goldschmidt z Lipska, panna Kathe Schirmacher i pani Milde.

Szczególniej drobiazgowo traktować ma kongres kwestyą pedagogiczną i kwestyą prawnego położenia kobiety odnośnie do gminy, stowarzyszeń, reprezentacyj miejskich i zawodowych, a przedewszystkiem konieczność zaprowadzenia zmian w dotychczasowym stosunku prawnym między małżonkami.

Delegowane z Francyi wnieść mają pod obrady sprawę wychowania mięszanego, która szczególnie ekscytuje tam umysły sfer niewieścich krańcowo emancypacyjnych. Ten sam przedmiot podejmują się popierać w Berlinie odłamy postępowe kobiet angielskich. Nieśmiemy przewidywać, jakiego przyjęcia dozna ta nowość na gruncie Niemieckim, ale w każdym razie winniśmy przypomnieć, że po za społecznością postępowych kobiet w Niemczech stoi zachowawczy kierunek niezmiernej ich większości, a po za tem wszystkiem jeszcze społeczność męzka, która ani wymarła ani zwyrodniała w tym stopniu, iżby się wpływu na tego rodzaju sprawy wyrzec miała, a z którą z kilku względów rachować się tutaj wypadnie. Najważniejszym z nich jest ten, że faktycznie dzierży ona dotąd prawodawstwo w swoich rękach, a wreszcie z nielicznymi wyjątkami duch niemiecki, o ile przewidywać wolno, stanowczo się przeciw temu oświadczy w naszych czasach. Co będzie kiedyś, przesądzać oczywiście nikt się nie ośmieli. Deputowane z Włoch przedstawią sprawozdanie o stanie szkół żeńskich i stanowisku ich przewodniczek. Kwestyę robotnic opracowała miss Kautledge. O praktyce lekarskiej kobiety mówić będzie d-r Dora Krajewska rodaczka nasza. Zresztą zapowiedziane jest sprawozdanie o stanowisku kobiety w sztuce i literaturze współczesnej.

✲ Dyamenty czarne wedle sprawozdania pana Henryka Moissant złożonego Paryzkiej Akademii Nauk zawdzięczają zabarwienie swoje mikroskopijnym cząsteczkom węgla. Kamienie te obfite bardzo na Cap i w Brazylii, mogą być jak twierdzi p. Moissant odbarwiane a środkiem prowadzącym do tego celu jest poddanie ich wysokiej temperaturze. Byłoby to z punktu spekulacyi wynalazkiem nader ważnym, ze względu, że dyament bezkolorowy ma cenę o wiele wyższą niż czarny, ale niestety metamorfozy tego rodzaju bez sproszkowania dokonać niepodobna. Węgiel, który tutaj znajduje się pod postacią grafitu nie daje się wypalić inaczej jak przy bezpośredniem zetknięciu się z płomieniem. W przeciwnym razie dyament będzie spalony, a przed kombustyą zupełną barwy nie zmieni.

✲ Spis ludności londyńskiej miał miejsce 29 Marca roku bieżącego. Co pięć lat powtarza się tego rodzaju kontrola wzrostu ludności i co pięć lat przekonać się mogą sfery, do których to należy, jak szybko zbliża się to zbiorowisko ludzkie do jakichś fantastycznych cyfr, po za które wyobraźnia nieośmiela się przekroczyć. W roku 1891 Londyn 4,232,118. W 1896 wyliczono ich 4,451,118. Jest zatem w tem pięcioleciu przyrost 221 tysięcy. Co będzie dalej, jeśli jakimibądź środkami nie zapobiegnie się wzrostowi dotychczasowemu tych motropolij?

✲ Woda w Paryżu w porze letnich upałów szafowaną bywa z wielkiem marnotrawstwem. W roku bieżącym przez ciąg jednego tygodnia skwarnego w Lipcu spotrzebowywano dziennie 630 tysięcy metrów sześciennych wody, z których 242 tysiące metrów wody źródlanej, 234 tysięcy rzecznej i 150 tysięcy metrów wody z Ourcq i ze studni Artezyjskich w Arcueil. Jest to w każdym razie bardzo wiele, bo przypada na mieszkańca dziennie 100 litrów, i gdyby tak jesz cze czas jakiś potrwała była susza i upały, przyszłoby do tego, że woda Sekwany musiałaby uledz kontroli i dystrybucyi niezbędnej.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.
